

Patrycja MIKULSKA

DEMOKRACJA JEST DOBRA NA WSZYSTKO?*

Lektura książki Johna Keane'a *Media a demokracja* może przynieść satysfakcję i pożytek niejednemu. Z zadowoleniem przeczytają ją wszyscy ci, którzy zaniepokojeni patrzą na częstą dziś w Polsce tendencję do bezkrytycznego importu idei i towarów z Zachodu. Keane oferuje im bogaty wybór przykładów tego, czego importować nie należy; co jest eleganckim opakowaniem kryjącym nadpsutą zawartość. Czytelnicy nieufni wobec liberalizmu i wolnego rynku znajdą tu potwierdzenie dla swoich obaw w postaci faktów oraz filozoficznych i socjologicznych analiz pokazujących wpisane w liberalizm tendencje totalitarne.

Trudno przewidzieć, na ile Keane miałby szansę zaniepokoić zwolenników liberalizmu, jednak stosowana przez niego metoda daje argumenty, na które niełatwo znaleźć odpowiedź. Przytacza on fakty, nierzadko znane powszechnie, jak choćby dominacja i ciągła ekspansja wielkich korporacji na rynku mass mediów, i pokazuje, że fakty te nie zaistniały przypadkowo, że są nieuchronną konsekwencją zasad funkcjonowania wolnego rynku. Odbiera więc przeciwnikom argument, często stosowany niegdyś w innych historycznych warunkach – że teoria jest dobra, a kuleje jedynie realizacja.

Chociaż w *Mediach i demokracji* wiele miejsca zajmuje krytyka, cel książki jest jednak pozytywny. Autor przedstawia w niej i broni pewnego modelu publicz-

nych środków przekazu, modelu – jego zdaniem – prawdziwie demokratycznego, który uniknąłby wynaturzeń występujących w liberalnych mediach Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych.

Wydana po raz pierwszy w 1991 roku książka Johna Keane'a jest odpowiedzią na wydarzenia ostatnich kilku lat i nie sprzeciwia się chyba intencji autora odczytywanie w niej dedykacji dla krajów postkomunistycznych.

JAK RODZINA PRZY KOMINKU

Keane rozpoczyna książkę przypomnieniem modelu środków masowego przekazu, który pochodzi z XVII i XVIII wieku, z czasów romantycznej walki o tzw. wolność prasy przeciw despotyzmowi władców, z czasów pierwszych gazet powielanych ręcznie oraz pierwszych teoretyków wolnej komunikacji społecznej. Według autora model ten, który znalazł odbicie w regulacjach prawnych dotyczących wolności słowa, prasy i komunikowania się, zakłada, że społeczeństwo może prowadzić rozmowę „jak rodzina zebrana przy kominku” i że członkowie społeczeństwa porozumiewają się bezpośrednio, „twarzą w twarz”. „Siedemnasto- i osiemnastowieczne opinie na związek pomiędzy wolnością a środkami przekazu były także obarczone ukrytym uprzedzeniem «klasycznym». Były ekstrapolacją modelu bezpośredniego komunikowania się «twarzą w twarz» w okresie greckiego *polis*. Przyjmowano, że w złożonych, nowoczesnych społeczeństwach

* John Keane, *Media a demokracja*, tłum. E. Petrajtis-O'Neill, Londyn 1992.

wszyscy obywatele mogą brać udział w życiu publicznym na równych warunkach; że swoboda wyrażania i publikowania poglądów pozwoli im uformować się w jednolite ciało publiczne, które harmonijnie roztrząsałoby kwestie dotyczące wszystkich” (s. 34).

To jednak, co w pewnym przybliżeniu było możliwe dla greckiej *polis*, okazuje się niemożliwe dla społeczeństw o wiele liczniejszych i bardziej zróżnicowanych, gdzie dostęp do środków masowego przekazu faktycznie nie dla wszystkich jest taki sam i gdzie różnice nie wynikają z nakładanych przez władze ograniczeń. Keane wskazuje, że w takich społeczeństwach konieczne jest komunikowanie się za pośrednictwem reprezentantów. Pierwsi teoretycy wolności prasy nie zastanawiali się nad znaczeniem reprezentacji i sposobami kontroli reprezentantów przez reprezentowanych. Jedynym zagrożeniem dla wolności i źródłem cenzury, jedyną instytucją, którą należało kontrolować, było państwo. Nie dostrzegano wówczas niebezpieczeństw płynących z wolnej konkurencji w dziedzinie środków masowego przekazu.

CENZURA RYNKOWA I CENZURA POLITYCZNA

„Pierwotne ideały wolnej prasy zrodziły się w okresie powstawania drobnych przedsiębiorstw i powszechnie panującego przekonania, że konkurencja zdecentralizowanego rynku jest istotnym antidotum na despotyzm. [...] Własność prywatną w dziedzinie środków przekazu [...] uważano za kluczowy składnik wolności komunikowania. Rynek uważano za niewidzialny, pozbawiony uprzedzeń i łagodny środek umożliwiający wolny obieg opinii publicznej. Uważano go za enklawę uczciwości, prawdy i integralności w

despotycznym świecie tajemniczości, kno-
wań i arogancji” (s. 37).

Tymczasem – dowodzi Keane – wolny rynek jest bodaj nawet groźniejszym cenzorem niż państwo. Jest on podstawowym czynnikiem generującym zjawisko autocenzury: poglądy, sposób ich głoszenia, tematy i gatunki artykułów i programów są tak modyfikowane, aby mogły zdobyć jak najszersze grono odbiorców. Poza tym wolny rynek wyklucza niektórych już „na starcie”. Finansowy próg inwestycji jest dla wielu zbyt wysoki, a dostęp do rynku jest faktycznie wolny dla wielkich korporacji, takich jak „imperia” Maxwella czy Murdocha, skupiające liczne tytuły prasowe, kanały telewizyjne i wydawnictwa książkowe na czterech kontynentach. Dominacja korporacji jest paradoksalnie wspierana przez prawną ochronę wolności słowa. Każde nałożone na takie dominia ograniczenie byłoby w świetle prawa pogwałceniem tej wolności.

Nacisk na odsłanianie mechanizmów cenzury rynkowej nie przeszkadza autorowi *Mediów i demokracji* dostrzegać cenzury państwowej działającej obecnie w państwach Zachodu, które określają siebie jako państwa liberalne. Keane twierdzi, że dzisiejsza cenzura nie różni się istotnie od tej, z którą borykali się wydawcy pierwszych gazet. Jej celem, podobnie jak w XVII i XVIII wieku jest ochrona silnej, niejawnej i nie poddanej społecznej kontroli władzy państwa. Władza taka jest liberałom potrzebna do ochrony „wolnego” rynku i obrony społecznej przed wewnętrznymi i zewnętrznymi zagrożeniami. Keane podaje drastyczne przykłady represjonowania wydawców i dziennikarzy, którzy publikowali poglądy niezgodne z oficjalną wersją wydarzeń, demaskuje cenzurę ukrytą pod hasłami tajemnicy wojskowej i reklamy rządowej, opisuje praktykę politycznego

kłamstwa, tak rozpowszechnioną, że prawie uznana nie tylko za oczywistość, ale za normę. W tej dziedzinie Keane bardzo surowo ocenia Zachód: „Jeśli rządy prawa [...] oznaczają systematyczną eliminację z życia publicznego arbitralnej władzy państwowej, czyli władzy zwolnionej z obowiązku poddawania się publicznej ocenie i krytyce [...], to bez przesady możemy mówić o rosnącym w zachodnich demokracjach bezprawiu” (s. 78).

KRYZYS PUBLICZNYCH ŚRODKÓW MASOWEGO PRZEKAZU

W państwach zachodnich istnieją jednak publiczne środki przekazu finansowane z pieniędzy podatników i kierujące się zasadą, którą znajdujemy w reklamie BBC: „informowania wszystkich przez cały czas”. John Keane dowodzi, że taki model mediów publicznych przeżywa kryzys, którego przyczyną są nie tylko trudności finansowe i konkurencja komercyjnych mediów prywatnych. Media publiczne mają kłopoty z określeniem własnej „tożsamości”; starając się dogodzić każdemu, nie zadowolają nikogo. Zwłaszcza przekaz dotyczący najważniejszych problemów politycznych i społecznych jest osłabiany z jednej strony dążeniem do „obiektywizmu”, z drugiej – naciskami rządowymi i groźbą procesów sądowych.

Źródłem problemów jest też oczekiwanie od publicznych środków przekazu produkcji wysokiej jakości, dlatego że – jak twierdzi Keane – nie jest jasne, czym jest ta wysoka jakość. Czy chodzi o sprawność techniczną i profesjonalizm wykonania, czy o trafianie do jak największej liczby odbiorców, czy o nie słabnącą z upływem czasu popularność, czy też o odpowiadanie gustom wykształ-

conych i krytycznych mniejszości. Standard jakości związany jest z potrzebami i gustami odbiorców, nie można więc ustalić jednego dla wszystkich.

Keane nie jest jednak przeciwnikiem publicznych środków przekazu. Broni ich istnienia przed liberalnym dążeniem do całkowitej prywatyzacji mediów, które uważa za odgórną, nie liczącą się z tradycją ani z wolą odbiorców ingerencję w historię. Tymi, którzy by na niej skorzystali, nie są wszyscy obywatele, a przywódcy polityczni i biznesmeni. Jednak media publiczne, aby przetrwać i w pełni realizować swój publiczny charakter, muszą zmienić zasady funkcjonowania. Muszą także ulec zmianie zależności między mediami, państwem i rynkiem.

POZA POLITYKĄ I RYNKIEM

Nowy model przedstawiany w *Mediach i demokracji* opiera się na rozróżnieniu sfery publicznej od państwa i uniezależnieniu jej od praw rynku. To uniezależnienie miałyby się dokonać za pośrednictwem nowych przepisów konstytucyjnych i państwowych oraz państwowych i pozapaństwowych instytucji finansowych, które pozwalałyby na nakładanie ograniczeń na wielkie przedsiębiorstwa i nie dopuszczały do tworzenia monopoli. Zadaniem wspomnianych instytucji finansowych byłoby poszukiwanie funduszy dla twórców programów niekomercyjnych. Konstytucja, państwo i odpowiednie instytucje pozapaństwowe miałyby być gwarantami swobody wymiany jak najszerszej gamy doświadczeń w ramach obywatelskiego społeczeństwa. Innymi słowy, miałyby pilnować, aby nikt, kto ma coś do powiedzenia i chce mówić, nie powstrzymywały przeszkody polityczne i finansowe.

Niemożliwość komunikacji bezpośredniej między obywatelami oraz konieczność reprezentacji nie stwarzałyby niebezpieczeństwa sztucznej nierówności w dostępie do mediów. Rozwiązaniem jest tutaj autentyczna wielość prezentowanych w środkach masowego przekazu poglądów. W niej każdy mógłby znaleźć coś dla siebie lub coś od siebie do niej dorzucić.

MEDIA A DEMOKRACJA W POLSCE

Polskie wydanie książki *Media a demokracja* poprzedza wstęp Karola Jakubowicza, który śledzi rozwój środków masowego przekazu w Polsce od 1989 roku, porównując z nim opisywane przez Keane'a zjawiska występujące w krajach Zachodu, w końcu zaś krytycznie rozważa propozycję nowego modelu mediów. Dla Jakubowicza, dla Polaka nie jest to właściwie model nowy: podobnie myśleli o publicznych środkach przekazu ludzie zebrani na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” w 1981 roku. Jednakże koncepcja ta nigdy nie doczekała się ani rozwinięcia, ani realizacji. Pozostała wizją z czasów „Solidarności” i stanu wojennego, z czasów wspólnej walki i prawdziwej komunikacji społecznej, która realizuje się tylko w takich wyjątkowych sytuacjach. Dzisiaj jesteśmy świadkami rozpoczynania się procesów, które w swojej książce przedstawia John Keane, dając nam szansę zobaczenia ich rezultatów bez konieczności czynienia własnego, gorzkiego doświadczenia historycznego. W tej możliwości „skoku w przyszłość” upatruje polski recenzent główny pożytek z lektury *Mediów i demokracji*. Wyraża jednak żal, że książka dotarła do nas tak późno.

Jakubowicz wątpi jednak w możliwość wprowadzenia w życie keanowskiej kon-

cepcji mediów publicznych. Wydaje się nawet, że wątpi w potrzebę tak rozumianych środków przekazu: „U nas jednak też, gdy przyszło co do czego, w nieporównanie trudniejszych warunkach stworzono drugi obieg jako niezależną sferę publiczną społeczeństwa obywatelskiego. Na co dzień jednak obywatele nie odczuwają potrzeby komunikowania się w skali masowej, wygłaszania orędzi do narodu. Wystarczy im świadomość, że prasa nie kłamie, a telewizja jest nasza. Czy tak jest w Polsce dzisiaj, a jeżeli nie, to kiedy tak będzie i co w tym celu trzeba zrobić?”

NASZA TELEWIZJA?

John Keane rzeczywiście nie daje odpowiedzi na pytanie o to, co robić, jakiej oczekiwałby zapewne nie tylko Karol Jakubowicz, ale wielu innych, którzy chcieliby mieć w Polsce prawdziwe środki komunikacji społecznej, a nie jeszcze jedno wydanie propagandowej trybuny czy „opium dla mas”. Keane jednak nie zajmuje się konstruowaniem konkretnego programu działania, nie proponuje modelowego prawodawstwa, nie zajmuje się szczegółami organizacyjnymi. Nie znajdziemy u niego instrukcji, kto, co i jak powinien zrobić, żeby zapewnić demokratyczność mass mediów. Polski czytelnik może się poczuć rozczarowany. Otrzymał jeszcze jedną książkę, która oprócz krytyki Zachodu – u jednych wywołującej zadowolenie, u drugich irytację – nie przynosi nic nowego, nic, czego byśmy wcześniej już nie poznali.

Wydaje się jednak, że książka ta daje nam jeszcze coś więcej niż tylko możliwość poznania doświadczeń społeczeństw starszych doświadczeniem wolnego rynku. Przedstawiając model publicznych środków przekazu, zmusza do porównań.

Na tle proponowanego przez Keane'a modelu wyraźnie widzimy, że nasze środki przekazu nie są „publiczne”; poza tym wydaje się, że w Polsce wcale nie jest jasne, czym są publiczne mass media.

Ostatnia kampania wyborcza może być tego przykładem, a jeśli nawet nie ona sama, to reakcje i komentarze jakie wywołała. Zwłaszcza partie prawicowe skarżyły się na tendencyjne traktowanie przez dziennikarzy, nie tylko w programach wyborczych, ale w audycjach ściśle informacyjnych, i na niemożność stworzenia alternatywy dla tego image'u. Można w takiej sytuacji winić „nieobiektywnych dziennikarzy”, można jednak zastanowić się nad samą organizacją mass mediów, która sprawia, że prawicowa partia nie ma innego wyboru, jak tylko korzystanie z usług lewicowego dziennikarza.

Dla polskich mass mediów charakterystyczny jest też brak możliwości autentycznego wyboru. Najmniej dotyczy to – moim zdaniem – radia, prasa natomiast jest tym dotknięta może jeszcze bardziej niż telewizja. Niech przykładem będą pisma kobiece i młodzieżowe. Publikacje te lansują style życia i zachowania, dyktują, co jest modne, nowoczesne i eleganckie. Dziś kobiety czytają „Twój Styl”, pismo piękne edytorsko, ambitne, o wyraźnym zacięciu „emancypacyjnym”, otwarcie, choć z wdziękiem, krytykujące „przestarzałe” poglądy na temat rodziny, miłości, seksu itp. „Twój Styl” nie ma właściwie konkurencji: nie ma czasopisma o podobnej jakości, które lansowałoby, inteligentnie i subtelnie, co innego niż pozostałości rewolucji seksualnej. Dzieci i młodzież też wybór mają niewielki: albo „Bravo”, albo „BeZet” – dobrze robione pismo wydawane przez franciszkanów. Cóż jednak ma czytać nastolatek, który nie identyfikuje się ani z

estetyką rocka i nasyconymi agresywnym erotyzmem ilustracjami „Brava”, ani z religijną orientacją „BeZetu”?

Takie środki przekazu nie są „nasze” również dlatego, że zbyt wielu jest tych, których poglądy i postawy nie znajdują w nich odzwierciedlenia. Wspomniana koncepcja „solidarnościowa” była owocem czasu wyjątkowego, w którym niektóre sprawy były przedmiotem powszechnej zgody i ich kwestionowanie automatycznie usuwało poza obręb społeczeństwa obywatelskiego. Wówczas było jasne (a przynajmniej wydawało się, że jest), co znaczy, że telewizja jest nasza. Wtedy chodziło o to, by była inna niż ówczesna telewizja państwowa, i to wystarczało. Dzisiaj nie wiemy, co znaczy „nasza” telewizja, bo wydaje się, że „nas” z czasów „Solidarności” już nie ma. Jednak wydaje się, że ówczesna wizja środków masowego przekazu przydałaby się nam dzisiaj, może nawet powinniśmy ją przypomnieć, jeszcze raz rozważyć, spróbować przynajmniej wprowadzić w życie.

DLACZEGO DEMOKRACJA?

Lektura książki Keane'a każe zapytać o uzasadnienie dla wizji autora. Dlaczego właściwie demokracja i media publiczne są dobre, lepsze od tego, co mamy obecnie na Zachodzie i co rodzi się u nas? Pytanie to tym bardziej usprawiedliwione, że Keane sam je stawia, zarówno pod adresem dawnych wizji mediów jak też swojej własnej i... nie daje na nie jasnej odpowiedzi. W początkowych rozdziałach *Mediów demokracji*, gdzie autor przedstawia historię walki o wolność prasy, znajdujemy też przegląd teoretycznych uzasadnień dla tej wolności. Dowiadujemy się, że broniono jej w imię Bożego daru myślenia, prawa naturalne-

go, powszechnego pożytku i prawdy. Keane zdaje się te argumenty odrzucać i nazywa „nie dającymi się obronić roszczeniami ideologicznymi” (s. 120). Z drugiej strony „odrzuca tęsknotę filozoficznego i etycznego «relatywizmu», z jego upraszczającymi wnioskami, w myśl których wszystko jest jedynie kwestią «preferencji»...” (s. 119-120). Przedstawiając zalety publicznych środków przekazu, ukazuje je jako niezawodny środek przeciw ukrywaniu informacji ważnych dla życia i bezpieczeństwa społeczeństw – np. dotyczących zagrożeń ekologicznych – a dla niektórych niewygodnych z finansowych lub politycznych względów. Demokracja natomiast jest – zdaniem Keane’a – dobra nie dlatego, że gwarantuje dobre decyzje, raz na zawsze przyjęte bezpieczne rozwiązania, ale dlatego, że jej procedury umożliwiają społeczeństwom podejmowanie swych problemów wielokrotnie i uczenie się na własnych błędach.

Te rozbieżne deklaracje nie dają ostrego obrazu poglądów ich autora. Deklaruje się on jako „nie-relatywista” – ale co to w jego przypadku znaczy? Mamy tu bowiem kombinację, która w kontekście dzisiejszych dyskusji wydawać się może nietypowa: orędownik wolnych mediów, który nie jest ani liberałem, ani relatywistą. Jest to też człowiek, jak wielu z nas, skrajnie wrażliwy na wszelkie ograniczenia wolności komunikacji, tak materialne jak i „ideologiczne”.

Różne nasuwają się odpowiedzi. Może Keane traktuje demokrację, która w jego ujęciu oznacza ciągły spór, nie kończącą się dyskusję na skalę całego globu, jako proces poszukiwania prawdy, która jednak nigdy nie zostanie osiągnięta. Prawda jest tutaj ideałem, celem oddalającym się w miarę jak się ku niemu postępuje. Ten nieuchwytny cel pozwala jednak unikać opierania decyzji na samych

tylko preferencjach. Niektóre fragmenty książki skłaniają do wniosku, że autor przywiązany jest do idei równości (wymienianej też w innych miejscach wśród „ideologicznych roszczeń”), wedle której nie ma powodu, aby instytucje państwowe i publiczne dawały pierwszeństwo komukolwiek i że trzeba nam mechanizmów zapobiegających wszelkim zachwianiom równowagi w tej dziedzinie. Kiedy indziej odnosi się wrażenie, że demokracja to ostatecznie jedyny mechanizm działania zapewniający ludzkości przetrwanie, chroniący przed destrukcyjnymi działaniami niektórych grup, które okazują się niebezpieczne dla wszystkich. W jeszcze innych miejscach wspomina o sceptycyzmie, co jest spotykaną już nieraz w historii formą kapitulacji wobec wielości opinii i nieusuwalnej niepewności poznania.

Keane w uzasadnianiu swych poglądów sprawia wrażenie kogoś, komu zabrakło słów. Keane bowiem zdaje się mieć indeks terminów zakazanych. Pewnych słów nie wolno mu używać, bo kojarzą się z cenzurą, manipulacją, totalitaryzmem różnych odmian, bo nadużyto ich w historii i nadużywa się po dziś dzień. Wśród nich znalazła się „prawda”, „dobro wspólne”, „godność człowieka”. W takiej sytuacji może tylko powiedzieć, że nie jest relatywistą. To wykluczenie pewnych terminów z języka, w którym autor komunikuje swoje własne poglądy, nie jest strategiczną cenzurą, mającą na celu pozyskanie pewnego grona czytelników, ale raczej odbiciem jakiejś części współczesnej kultury Zachodu, w której John Keane intensywnie uczestniczy.

Obraz tej kultury kreślony w *Mediach i demokracji* nie jest atrakcyjny. Pomimo to jest w nim duża doza optymizmu, choć optymizm ten nie dotyczy obecnego stanu społeczeństw. Keane zdaje się natomiast wierzyć w demokrację, wierzyć, że

jest ona mechanizmem, który niezawodnie pozwala dojść do głosu „wolności i cnocie”, która istnieje wśród ludu i ciągle na nowo będzie przywracać równowagę społeczeństwu. Jak jednak tę demokrację zabezpieczać? I co robić, jeśli lud, działając zgodnie z demokratycznymi

procedurami, wybierze niewolę i tyranię, zablokuje mechanizmy utrzymujące go w równowadze? Może – tak jak Keane – pisać książki demaskujące, nawołujące do opamiętania? Jednak warunkiem ich oddziaływania, przeniknięcia do społeczeństwa, jest znów demokracja.